

Katarzyna Zimmerer

Losy ludzkie w krytycznych czasach - w poszukiwaniu własnej tożsamości

Ten tekst zaczęłam pisać kilka lat temu. Ciągłe go zmieniam. Im dłużej nad nim pracuję tym bardziej nie jest gotowy. Zamiast odpowiedzi pojawiają się pytania. Teraz jestem w stanie przedstawić Państwu jedynie szkic, którego tytuł brzmi „W poszukiwaniu własnej tożsamości”.

Jestem Polką. Wychowała mnie polska historia, kultura, tradycja.

Ale: Mój ojciec był Niemcem. Urodził się w 1924 roku w Augsburgu. Kiedy Hitler doszedł do władzy miał dziewięć lat. Jak wszyscy niemieccy chłopcy należał do Hitlerjugend. Został zmobilizowany dopiero w roku 1944. Był wtedy w klasie maturalnej. Wraz z oddziałami wojsk okupacyjnych wysłano go do Paryża. Od jego przyjaciół wiem, że współpracował z francuskim ruchem oporu. Po wyzwoleniu Francji dostał się do niewoli, w której spędził kilka miesięcy.

Moja mama definiuje się jako Polka. Podobnie myślały o sobie moja babcia i prababcia.

Ale: Prababcia przyszła na świat w religijnym domu żydowskim. Kiedy umierał jej ojciec, syn ober rabina miasta Wiedeń, błogosławiąc dzieci na łożu śmierci prosił, żeby były pobożne. Żadne z nich nie spełniło tej prośby. Po jego śmierci matka mojej prababki zdecydowała się na polonizację rodziny. Porzuciła żydowskie tradycje i zwyczaje, jednak ani jedno z jej dziewięciorga dzieci nie zdecydowało się chrzest, choć mógłby ułatwić im wstęp do polskiego społeczeństwa. Moja prababka wyszła za mąż za Jakuba Mortkowicza. Razem stworzyli znane w przedwojennej Polsce wydawnictwo, w którym ukazywały się dzieła największych polskich pisarzy. Czy nigdy nie spotykały ich antysemitki przykrości, jakie spotykały przecież wszystkich asymilowanych Żydów? Nie wierzę.

Moja prababka czuła się Polką, ale nigdy nie wyparła się swoich żydowskich korzeni. W sierpniu 1940 roku została wezwana do siedziby Gestapo na przesłuchanie w jakiejś błahej sprawie. Kiedy wchodziła do budynku portier obraził ją antysemitką uwagą. Poskarżyła się niemieckiemu oficerowi, a wtedy usłyszała, że Żydzi nie zasługują na nic lepszego. Zdenerwowana zaczęła krzyczeć, że jest dumna ze swojego pochodzenia i nie widzi powodu

by się wstydzić swoich przodków, ponieważ zasługują na najwyższy szacunek. To cud, że wyszła z tej awantury z życiem.

Kiedy Niemcy napadli na Polskę moja mama miała pięć lat. Pamięta jak na początku wojny biega po Rynku Starego Miasta w Warszawie i razem z tamtejszymi ulicznikami wykrzykuje wierszyk:

Jude!

Wlazł pod budę!

A ta buda trzeszczy!

A ten Jude wrzeszczy!

Ktoś złapał ją za ucho i przyprowadził do domu. Tam dowiedziała się, że ten wierszyk dotyczy także jej. Pamięta swój wrzask: „To nieprawda! Ja nie jestem Żydówką! Ja nie chcę być Żydówką!”. „A cóż w tym okropnego? – odpowiedziała wtedy spokojnie moja prababka. – Pomyśl lepiej o tym, jakie spotkało cię szczęście. Będziesz musiała szukać przyjaciół wyłącznie wśród przyzwoitych ludzi”.

Kiedy niemiecki okupant ogłosił, że Żydzi mają przeprowadzić się do getta, moja rodzina zdecydowała się zostać po aryjskiej stronie. Moja mała mama ukrywała się najpierw razem ze swoją babcią i prababcią, a kiedy stało się to zbyt niebezpieczne oddano ją do klasztoru. Nie widziała swojej matki dwa lata. Kiedy się wreszcie zobaczyły w czerwcu 1945 roku nie poznała jej. Po wojnie zamieszkała razem z nią i swoją babcią w Krakowie. Poszła do szkoły. Jak inne dzieci rozpoczęła normalne życie.

Po wojnie mój ojciec wydawał w Essen gazety „Wiara i rozum” oraz „Początek i koniec”. Z przekonania katolik i marksista zainteresował się Polską. Przyjechał do Warszawy wczesną jesienią 1956 roku. Był chyba jedynym zachodniemieckim dziennikarzem, obecnym podczas „polskiego października”. Zaczął pracować jako korespondent dla niemieckiej gazety „Die Welt”. Podpisał akredytacje na trzy miesiące, a potem na kolejne trzy. Pokochał moją mamę. Postanowił zostać dłużej. I został aż do swej śmierci w 1987 roku.

Rodzice poznali się dwanaście lat po zakończeniu wojny. Matka z pewną obawą spytała w domu czy może przyprowadzić swego niemieckiego adoratora. Babcia i prababcia, jakby zapomniały o doświadczeniach niemieckiej okupacji i Zagładzie były zachwycone - wreszcie będą mogły rozmawiać z kimś po niemiecku!

Rodzice właściwie nigdy nie rozmawiali ze sobą o swych wojennych doświadczeniach. Dlaczego? Być może było za wcześnie? Mama uciekała od wspomnień. Broniła się przed nimi śmiechem zakładając z równie przez wojnę pokiereszowanymi jak ona przyjaciółmi kabaret „Piwnica pod Baranami”. Ten śmiech miał unieważnić dramatyczną przeszłość i nadać sens życiu. Być może ślub z Niemcem też miał tę przeszłość unieważnić. Może dlatego mama nigdy z nim o niej nie rozmawiała.

A mój ojciec? Miał szczęście. Nigdy nie był na froncie. Nigdy nie usłyszał rozkazu, że ma kogoś zabić i nigdy nikogo nie zabił. To wiem na pewno. Mógł właściwie wyjść z tej wojny z czystym sumieniem. Ale tak się nie stało. Przez całe życie dręczyło go poczucie winy. Nie tylko za niemieckie zbrodnie, ale również za niemiecką obojętność wobec polityki nazistów. Być może przyjechał do Polski i w niej został, by te winy odkupić.

W naszym domu mówiło się po polsku, choć początkowo ojciec umiał powiedzieć jedynie „wszyscy stoją oprócz ciotki”. Wkrótce jednak zaczął się posługiwać płynną, wspaniałą polszczyzną, urozmaiconą uroczymi błędami. Znał doskonale polską historię, literaturę, muzykę i sztukę. Znał polskie miasta, miasteczka i wsie. Równie dobrze potrafił rozmawiać z luminarzami kultury, sztuki, nauki i polityki jak z niewykształconymi chłopami, bowiem był zapalonym kolekcjonerem polskiej sztuki ludowej.

O swoim kraju mówił zawsze „mój niemiecki Vaterland”, jakby bał się użyć w tym kontekście polskiego słowa „ojczyzna”.

Jako dziecko czułam, że nie lubi Niemców, ale nigdy z nim na ten temat nie rozmawiałam. Kiedy ta rozmowa stała się dla mnie ważna, on był już bardzo chory.

Rodzice rozwiedli się, kiedy miałam siedem lat. Wyjechałam z mamą do Krakowa. Ojca odwiedzałam kilkanaście razy w roku. Nie rozumiałam wtedy, dlaczego jej mogę opowiadać o harcerskich zbiórkach na które chodziłam z zapałem, a on nie chce nawet o nich słyszeć. Choć nigdy nie powiedział tego wprost, wiedziałam, że nie cierpi harcerzy. Dziś go rozumiem. Mundur, który wtedy nosiłam był dla mojej mamy symbolem bohaterstwa „Szarych szeregów”. W moim ojcu budził upiory młodości, spędzonej w Hitlerjugend.

Nigdy nie opowiadałam mu o bójkach, jakie staczałam z kolegami podczas przerw. Być może instynktownie wyczuwałam, że te historyjki mogłyby mu sprawić przykrość. Dzieci zawsze bawiły się w wojnę. W klasie pełnej Nowaków, Kowalskich, Przypkowskich i Przepiórkowskich, to zapewne naturalne, że rolę armii niemieckiej odgrywa jeden, jedyny Zimmerer, a cała reszta to czterej pancerni i pies. Na szczęście umiałam się niezłe bić. Wspomnienia tych walk nie budzą dziś we mnie żadnych emocji – byłam dość lubiana, więc nie odczuwałam ich jako szykany, a raczej jako inscenizację prawdy historycznej.

Złościło mnie jednak kiedy szkolni koledzy witali mnie faszystowskim pozdrowieniem „Heil Hitler”, a na moich zeszytach pojawiały się ciągle swastyki. Matka, której się poskarżyłam, zbyła mnie, mówiąc, żebym się nie przejmowała idiotami, uznając zapewne, że takie nastawienie do życia rozwiązuje wiele problemów. Więc się starałam nimi nie przejmować.

Wiele lat później, odkryłam, że swastyki zdobią również zeszyty mojej dziesięcioletniej córki, której nazwisko też brzmi niemiecko. Okazało się, że i ona witana jest przez swoich dwóch kolegów okrzykami „Heil Hitler”. Nie wiele myśląc zaczęłam tłumaczyć mojemu dziecku, jak złożyć dłoń w pięść i jak przywalić nią w nos takiemu idiocie, żeby go w dosłownym tego słowa znaczeniu krew zalała. Kiedy wygłosiłam tę zdumiewającą dla mnie samą radę, opanowałam się na tyle, by uświadomić córce, że wcale nie musi nikogo bić, jednak ta zaciśnięta pięść ma wyzwolić w niej taką wewnętrzną moc, by już nikt nigdy nie ośmielił się jej więcej obrazić.

Moja rada poskutkowała. Nie wiem jak to się stało, ale rzeczywiście wystarczyło, by moja córka pokazała chłopcom zaciśniętą pięść, a dali jej święty spokój. Dziś, po wielu latach, nadal są jej bliskimi przyjaciółmi.

Nie pamiętam kiedy po raz pierwszy usłyszałam o moim żydowskim pochodzeniu, więc przypuszczam, że wiadomość ta nie zrobiła na mnie specjalnego wrażenia. Nie przypominam też sobie z okresu dzieciństwa i młodości żadnych rozmów na ten temat, bo temat ten przez wiele lat nie był dla nikogo z mojej rodziny ważny.

To się zmieniło podczas Drugiego Festiwalu Kultury Żydowskiej w 1992 roku. Uczestniczyłam w tym Festiwalu jako dziennikarka jednej z krakowskich gazet, więc

chodziłam na wszystkie wykłady, spotkania i dyskusje. Wtedy też, ku własnemu zdumieniu, poczułam, że istnieje jakaś więź, łącząca mnie ze światem żydowskim.

Próbowałam na ten temat rozmawiać z moją matką, jednak te rozmowy nam nie wychodziły. Pytała mnie rzeczowo z jakim światem żydowskim chcę się identyfikować, skoro nasza rodzina jest od ponad stu lat nie tylko asymilowana, ale też bardzo głęboko wtopiona w polskość.

Nie umiałam znaleźć odpowiedzi, choć czułam, że w jej logicznym wywodzie jest jakaś luka. Kłóciłyśmy się na ten temat wielokrotnie, nie dochodząc do żadnych, wspólnych wniosków.

Rozmowy z jej przyjaciółką też mi się wtedy nie udawały. Zresztą w gruncie rzeczy to nie były żadne rozmowy. Wszelkie moje pytania zbywała mówiąc stanowczo, że „to” nie moja sprawa i żebym się od „tego” trzymała jak najdalej.

Choć ani moja matka, ani jej przyjaciółka nigdy tego głośno nie powiedziały, przypuszczam, że ich najmocniejszym i zapewne nieświadomym argumentem przeciwko moim próbom odnalezienia żydowskiej tożsamości był głęboko zakorzeniony lęk oraz przekonanie, że bycie Żydem skazuje człowieka na cierpienie. Rozumiem, że chciały mnie przed tym cierpieniem chronić...

Początkowo moja żydowska tożsamość opierała się na wyobrażeniu, że urodziłam się odpowiednio wcześniej, by tragiczne doświadczenie Holocaustu stało się również moim udziałem. To było dość proste. Moja córka miała wtedy dokładnie tyle lat, ile miała moja mała mama, kiedy została oddzielona od rodziny i ukryta w klasztorze.

Niechętnie opowiadała o swoich okupacyjnych losach, a jeśli już o nich mówiła, to zazwyczaj w najmniej odpowiednim momencie, jakby chciała, by się nimi zbytnio nie przejmować. Śladów jej przeżyć szukałam w różnych publikacjach na temat Zagłady, choć dobrze wiedziałam, że ich tam nie znajdę. Nikt z mojej licznej rodziny nie był w getcie, nikt nie był w obozie koncentracyjnym. Poza jednym bratem mojej prababki, zastrzelonym wraz z żoną przez Gestapo nikt z mojej rodziny nie zginął. Część zdołała uciec z Polski na początku wojny, inni uratowali się dzięki pomocy Polaków.

Mama opisała wreszcie doświadczenia naszej rodziny w swej książce pt. "W ogrodzie pamięci". Wiem, że nie opowiedziała o sobie wszystkiego. Zapewne już nigdy tego nie zrobi. Pogodziłam się z tym.

Nie pamiętam, kiedy powiedziałam córce o naszych żydowskich korzeniach. Zapewne wtedy, kiedy jako czteroletnia dziewczynka zagrała w filmie Andrzeja Wajdy pt. „Korczak”. Dwa lata później wróciła któregoś dnia z przedszkola i triumfującym głosem oznajmiła, że według pani wychowawczynie rola w „Korczaku” wcale nie znaczy, że jest „jakąś Żydówką”. Przyznałam nauczycielce rację. Tłumaczyłam córce, że rola w filmie rzeczywiście o niczym nie świadczy. Potem po raz kolejny opowiadałam o naszej genealogii. Następnego dnia córka stwierdziła, że według pani wychowawczynie jest zbyt ładna i ma zbyt niebieskie oczy, by być „jakąś Żydówką”. Nie pamiętam, co jej wtedy odpowiedziałam. Nie zamierzałam dyskutować z jej wychowawczynią, bo ta dyskusja wydawała mi się w tamtym czasie bez sensu. Dziś bym postąpiła inaczej, bo już wiem, że spokojne i pozbawione emocji rozmowy z różnymi paniami i panami tego typu są jednak szalenie ważne i potrzebne.

Od kilku lat mówię otwarcie o moim pochodzeniu. Kiedy jednak miałam po raz pierwszy powiedzieć publicznie, że moja babcia i prababcia były Żydówkami, czułam że popełniam wobec nich straszny nietakt. Podobne wrażenie miała też moja mama, więc przytaczając w swej książce pewne dokumenty napisała: „Z niejasnym poczuciem winy cytuję akt urodzenia matki. Tak samo nieswojo czułam się, zamieszczając w poprzednim rozdziale akt ślubu dziadków. Nielojalność? Nie wiem. Moi bliscy nie ukrywali przecież swego pochodzenia. Nie zdradzam żadnych tajemnic. A jednak rozwodzę się nad sprawami, o których niechętnie mówili. Tak dumni byli ze swojej polskości. Woleli nie podkreślać, jak niewielki dystans dzielił ich od żydowskiego świata, z którego uciekli (...). Wydaje mi się, że przełamując niechęć do cytowania owych dokumentów przełamuję strach. Własny i odziedziczony. W czasie wojny te wypisy z aktów stanu cywilnego oznaczały przecież wyrok śmierci (...) Powiem szczerze, że jeszcze parę lat temu nie zdecydowałabym się na to, by je publikować. Uważałabym, że to dawno zapomniana przeszłość. Było. Minęło. Nie ma do czego wracać. Zresztą po co? Kto wie, co znowu może się wydarzyć? Ale chyba nadszedł wreszcie czas, by pozbyć się tego zakodowanego w genach, ukrytego głęboko w duszy poczucia wstydu i strachu. Najwyższa pora, by odszukać zatarte ślady drogi”.

W rozmowach babcia i prababcia nigdy nie używały słowa „Żyd”. Mówiły w takich razach po francusku „le Juif”. W kręgu pewnych moich znajomych starsze generacje posługiwały się łacińskim określeniem „ex nostris” - „z naszych”. Kiedy ostatnio podczas jakiejś rozmowy powiedziałam, że jestem Żydówką, zaprzyjaźniony ze mną młody człowiek, poprosił z przerażeniem w oczach, bym nigdy więcej nie mówiła publicznie o sobie „takich rzeczy”. Długo nie mogłam pojąć, że nie powiedziałam nic obraźliwego, a ja równie długo tłumaczyłam, że słowo Żyd brzmi tak samo dumnie i tak samo niewinnie jak słowo Polak, Francuz, czy Anglik. Głęboko zakodowane poczucie, że to nieszczęsne słówko na „Ż” stanowi obelgę, sprawia, że unika się go jak ognia. Kiedy mówię o sobie bez lęku, bez wstydu i bez zażenowania, że jestem Żydówką, mam czasem poczucie, jakbym zdejmowała jakiś zły czar. Z siebie. I z moich rozmówców. Bo pojęciu „Żyd” przywracam jego godność.

Kiedy pierwszy raz wygłaszałam ten tekst kilka lat temu w Leżajsku stwierdziłam, że nie będę się rozwódzić na temat mojej polskości, bo jest ona dla mnie oczywista. I tak było przez długi czas aż do konferencji Polsko-Izraelskiego Towarzystwa Zdrowia Psychicznego, która odbyła się w Krakowie w 2004 roku. Izraelscy koledzy w sposób niezwykle gwałtowny zarzucali Polakom obojętność wobec cierpień narodu żydowskiego. Trudno mi się słuchało tych zarzutów. Z trudem powstrzymywałam się, żeby nie zacząć mówić o polskich Sprawiedliwych, o ludziach, którzy uratowali moją rodzinę. Nie umiałam sobie poradzić z emocjami – nie tylko własnymi, ale też innych uczestników konferencji. Żeby się przed nimi chronić, uznałam na chwilę, że mnie to wszystko nie dotyczy. Przecież jestem Żydówką. Nie muszę czuć się odpowiedzialna za polski antysemityzm, polską obojętność, za polskich szmalcowników, donosicieli i sąsiadów... Tylko w takim razie, co ja mam robić w tym kraju i jak ja mam w nim żyć? Co mam zrobić z polską historią, kulturą i tradycją, które mnie wychowały? Zapomnieć o nich, czy może raczej starać się, by obraz szlachetnego, bohaterskiego, dobrego Polaka dopełnił obraz Polaka podłego, obojętnego, złego?

Najpierw słyszałam, że będzie mi łatwiej kiedy zapomnę o moich żydowskich korzeniach, potem pojawiła się pokusa, by zapomnieć o swojej polskości. Niewątpliwie jeszcze prościej było by mi, gdybym umiała zapomnieć o swoim niemieckim ojcu.

Namawiał mnie do tego kilka lat temu pewien rabin z Norymbergii. Tłumaczył, jakbym tego nie wiedziała, że według prawa rabinackiego żydowskość dziedziczy się po matce, więc choć mój dziadek i ojciec byli gojami, zgodnie z owym prawem jestem Żydówką. Kiedy

upierałam się, że jestem też Polką i Niemką, stracił cierpliwość. Krzycząc: „oto pani żydowskość!” rzucił przede mną na stół książkę. Na granatowej okładce przeczytałam tytuł: „Ustawy o czystości rasy niemieckiej”.

Jeśli te ustawy mają stanowić o mojej żydowskości, to chyba muszą też determinować moją niemieckość.

Od pewnego czasu zauważam ze zdumieniem, że im bardziej utożsamiam się z moimi żydowskimi korzeniami, tym bardziej, jako Niemka poczuwam się do odpowiedzialności za Holocaust.

Chciałabym móc porozmawiać na ten temat z moim ojcem, ale nie mogę. Mam tyle pytań do niego. Tak mało o nim wiem. Nigdy nie opowiadał mi o swoim dzieciństwie. Nie mam pojęcia jakim był uczniem, czym się interesował i jakich miał przyjaciół. Nie wiem, jak reagował, kiedy nauczyciele jawnie prześladowali podczas lekcji jego żydowskich kolegów, a po kilku latach panowania nazistów zabroniono im chodzić do szkoły, na baseny, do parku i kina. Nie wiem też, co myślał i co czuł podczas nocy kryształowej w 1938 roku. Miał wtedy 14 lat. We wszystkich niemieckich miastach palono synagogi, sklepy i przedsiębiorstwa żydowskie. Nazistowskie bojówki wyciągały ludzi z mieszkań na ulicę i tam były bez opamiętania. Pogrom trwał kilka dni. Było wielu zabitych i rannych. Gdzie był wtedy mój mały tata i co robił? Czy rozmawiał z rodzicami o tym, co się dzieje, a jeśli tak, co mówili? Nie wiem, a im więcej o tym myślę, tym bardziej jestem wściekła, że się już tego nie dowiem.

Właściwie znam tylko dwie jego opowieści z czasów wojny. Kiedy stacjonował jako żołnierz w Paryżu zaglądał w wolnych chwilach do księgarni i antykwariatów. W jednym z nich odstawił kiedyś karabin do stojaka na parasole. Wychodząc zapomniał o nim. Sprzedawca wybiegł na ulicę, wymachując jego bronią i błagając, by ją sobie zabrał. Kiedy zjawił się w tym sklepie następnym razem, właściciel zaprowadził go na zaplecze, gdzie miał ukryte książki, zabronione przez okupanta. Zaprzyjaźnili się. Być może to był właśnie początek współpracy mego ojca z francuskim resistance. Nie wiem tego i zapewne nigdy się już nie dowiem. Kiedy uciekał przed wojskami alianckimi, któregoś ranka dotarł wykończony ze zmęczenia do jakiejś wiejskiej chałupy. Anonimowi francuscy chłopcy nakarmili go wtedy chlebem z kozim serem. Potem dostał się do niewoli. Nie chciał o tym mówić.

Czasem żałuję, że nigdy nie przytuliłam do siebie istniejącego w nim chłopca, że nie przyjął na siebie jego strachu, upokorzenia, rozpaczyny.... Równocześnie pojawia się we mnie ambiwalencja. Przecież był Niemcem. Czy Niemiec ma prawo opowiadać o swoich dramatach wojennych?

Wiem, że rodzina ojca nie popierała Hitlera. Jego babcia, kupując w pobliskiej knajpce piwo, podnosiła – jak wszyscy - dłoń w faszystowskim pozdrowieniu, ale zamiast „Heil Hitler” mówiła „Halb Liter”. Był to w tamtych czasach wielki gest odwagi. Na nic więcej nie było stać ani jej, ani innych członków mojej niemieckiej rodziny. Otwarta opozycja wobec nazistów, poza kilkoma sporadycznymi wypadkami, nie istniała. Gdzieś na dnie duszy, mam jednak żal, że wśród tych „sporadycznych wypadków” nie było ani jednego członka mojej niemieckiej rodziny.

Ojciec nigdy nie zabierał mnie do Niemiec. Nigdy nie poznałam swojej niemieckiej rodziny. Dopiero na wyraźną prośbę mojej matki wysłał mnie na wakacje do pewnej rodziny z dziećmi. Oczywiście zawsze wiedziałam, że nazywają się von Moltke, że pan domu, Konrad jest synem Helmuta, członka niemieckiej opozycji, który za zdradę stanu został skazany na śmierć w styczniu 1945 roku. Jednak dopiero niedawno zaczęłam się zastanawiać nad tym, czy to przypadek, że trafiłam właśnie do nich. Spytałam o to moją matkę. Popatrzyła na mnie jak na idiotkę. Była pewna, że wiem, iż mój ojciec związał się z wydawnictwem Henssel Verlag tylko dlatego, że jego właściciel Henssel był opiekunem wdów po straconych opozycjonistach i wspierał je finansowo, a pomagał mu w tym między innymi mój ojciec. To bardzo miła dla mnie wiadomość. Sprawiała, że poczułam rodzaj ulgi. A mimo to w głowie nadal kołacze mi się myśl, że przecież Sophie Scholl, członek antyfaszystowskiej grupy „Biała Róża”, stracona za swą działalność we roku 1943 była zaledwie o trzy lata starsza od mojego ojca...

Definiując moją sytuację mogę powiedzieć: mój naród wymordował mój naród, podczas kiedy mój naród się temu przyglądał.

Ale: Mój niemiecki ojciec nikogo nie zabił. Moja żydowska rodzina przeżyła Zagładę, dzięki wielu Polakom, którzy narazili dla niej własne życie.

Polska historia, niemiecka historia, żydowska historia były dla mnie i dla mojej rodziny łaskawe. Więc po zawracam sobie nimi ciągle głowę?

W słynnej powieści Geogra Orwella „1984”, tylko jednemu człowiekowi udaje się wymknąć spod totalitarnych wpływów Wielkiego Brata. W świecie w którym pamięć indywidualna zapisywana była codziennie na nowo przez władze, jemu udało się zachować pamięć historii. Dzięki temu w jednowymiarowym, uporządkowanym świecie stał się jedyną istotą złożoną, a tym samym pozostał wewnętrznie wolny.

Im starannie przywracam sobie samej polską, niemiecką i żydowską pamięć, tym bardziej staję się niezależna. Tym mniej boję się świata i ludzi.